

SŁOWA SĄ WOLNE

44 W I E R S Z E  
P O E T Ó W P O K O L E N I A  
N I E P O D L E G Ł O Ś C I



# SŁOWA SĄ WOLNE

44 W I E R S Z E  
P O E T Ó W P O K O L E N I A  
N I E P O D L E G Ł O Ś C I

WYBRAŁ, WSTĘPEM I NOTĄ OPATRZYŁ  
PAWEŁ PRÓCHNIAK

S Ł O W A   S A   W O L N E

UWAGI O NIEPODLEGŁOŚCI POEZJI

1.

Przed laty – w czasach, gdy Polska trwała w uścisku realnego socjalizmu i nie była wolnym krajem – Zbigniew Herbert pisał w wierszu *Raport z obłąkanego Miasta*: „i tylko nasze sny nie zostały upokorzone”. W snach jest coś niepodległego – coś, co ocala naszą godność. Sen jest oddechem wyobraźni, jest jej wolnością, ale potrafi też dotknąć tego, co w nas najgłębsze, najbardziej prawdziwe. I potrafi to odstąpić. Tym samym jest słowo właściwie użyte – słowo poezji, słowo wiersza.

2.

Prawdziwa poezja jest słowem niepodległym, wewnątrznie wolnym. Niekiedy jednak te wewnątrznie wolne słowa wierszy w szczególny i tajemniczy sposób zestrzają się z nagle wybudzonym żywiołem wolności, który od czasu do czasu radykalnie odmienia oblicze ludzkiego świata. Dotyczy to między innymi wierszy polskich poetów urodzonych na przełomie XIX i XX wieku i tym samym należących do pokolenia niepodległości – pokolenia, które swoją poezją kształtowało i zagospodarowywało niepodległość Polski odzyskaną w roku 1918.

3.

Poeci niepodległej Polski dali polszczyźnie coś, co wciąż w niej żyje, wciąż buzuje w naszej wyobraźni. Jest w ich wierszach siła wolnego słowa – siła wyzwolana przez słowo i w słowie znajdująca oparcie. Jest w nich niezgoda na słowa uwięzione, zagnane do kojców, zamknięte w klatkach. I jest potencjał wolności, który niesiemy w sobie, bo to on czyni nas wolnymi ludźmi.

4.

Poezji pierwszych dekad XX wieku towarzyszyło poczucie, że ludzka rzeczywistość jest na progu głębokiej przemiany, że rozpędzony świat wymaga rozpędzonych słów, że potrzebuje słów uwolnionych, słów na wolności. I takie chciały być tamte wiersze – chciały stać się zaczynem i głosem tej fermentującej, buzującej energii, chciały nadawać jej formę. Ożywiało je marzenie o słowach, które są czymś istotnym, rozświetlają rzeczywistość, niosą powiew wolności, wyzwalają wyobraźnię, sprawiają, że jest czym oddychać. I było w nich też marzenie o słowie, które weźmie na siebie los poniżonych i bitych, ujmie się za słabszymi, wyjdzie naprzeciw bezradności opuszczonych i bezbronnych, nazwie po imieniu przemoc i krzywdę, przeciwstawi się rozpaczy, wypowie głośno „nie!”.

## 5.

Poezja tamtego pokolenia – jak każda – buszuje w słowach, wyrusza w nieznanne, patrzy okiem wyobraźni. Niekiedy rodzi się z zachwyty, z nagłego olśnienia. Częściej jednak wyrasta z doznania zimnej grozy, z przeżywanego smutku, z bólu, który nigdy nie zasypia. To dlatego z taką siłą przemawia przez nią gniew. Dlatego bywa otwartą raną.

## 6.

Poezja jest słowem niepodległym. Każdy wiersz tworzy swój własny, autonomiczny świat. Ale zarazem te niepodległe, autonomiczne wiersze na różne sposoby rozmawiają ze sobą – odpowiadają sobie echem, przeświecają przez siebie nawzajem, niekiedy wiodą spory. Taką rozmowę prowadzą również wiersze poetów pokolenia niepodległości. Warto wsłuchać się w ich głosy. I warto oddychać tym, czym one oddychają. Również w ten sposób, w tym oddechu, w tym nasłuchiowaniu, przejawia się siła wolnego słowa – uwolniona w wierszu, wyzwalająca. Co dziś w rozmowie tamtych wierszy potrafimy usłyszeć? Co potrafimy z nich podjąć? Nie umiem na te pytania odpowiedzieć, wiem jednak, że nasze sny pozostają niepodległe, nasze słowa oddychają wolnością – póki żyją w nas wiersze, póki próbujemy im sprostać.

## 7.

Poezja jest wolnością słów, jest słowem właściwie użytym – warto przy niej obstawać. Zwłaszcza dziś, w świecie słów na posyłki, słów z przydeptanym gardłem, słów udręczonych i ogłupiałych, warto słuchać wierszy, warto wsłuchiwać się w ich słowa: wolne, odważne, brzmiące mocno i czysto, konieczne – jak oddech.







*Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy,  
A imię jego czterdzieści i cztery.*

Adam Mickiewicz, *Dziady. Poema, Część III*

1/44

## JÓZEF CZECHOWICZ WULKAN

Pod Paryż, Londyn, Warszawę  
wwierca się ogniem podkop –  
gaszą go salw kurzawy,  
głuszą go szarże podków.

Z niezapisanych przyczyn  
sztandary, pięście rosną,  
pęcznieje, ogień syczy,  
pachnie groźbą i wiosną!

Trzęsie już gruntem jak mina,  
niejeden blednie parlament,  
patrząc trwożnymi oczyma  
na dymiące rany i szramy...

Pod ziemią dopiero kipi,  
a jużście, wielcy, ścierpli?  
Poczekajcie... zakipi lepiej...  
może w lipcu... może na sierpień...

2/44

JAN LECHOŃ  
MOCHNACKI

*W r. 1832 Maurycy Mochnacki koncertował w Metz.*

Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie  
I z wolna jął próbować akord po akordzie.  
Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,  
A tam w kącie kirasjer w wyłaczanym kasku,  
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,  
A wyżej, na galerii – milcz serce! – mundury.  
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,  
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli –  
On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,  
Więc skrył się za okopem i zagra o wiośnie.

Rozpędził blade palce świergotem w wiolinie  
I mały, smutny strumień spod ręki mu płynie.  
Raz w raz rosa po białej pryska klawiaturze  
I raz po raz w wiolinie kwitną polne róże.  
Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,  
Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmienią!  
Nie. Równy, równo rosną w jakiś smutny taniec,  
Rozdręganą klawiaturę przebłagał wygnaniec  
I nagle się rozpląkał po klawiszach sztajer,  
Aż poszedł szmer po sali, sali biedermeier.  
Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci.  
Jakieś myśli chce straszne wyrzucić z pamięci,  
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżącą  
I czuje tuż przy piersi nieznośne gorąco,  
I tysiąc światła w oczach, w czyjejs twarży dołki,  
I zapach białej sukni, ubranej w fijołki.  
Nagle złoty kirasjer poruszył się w kącie.  
Sto myśli, jak kanonier, stanęło przy loncie,  
Stu spojrzeń obcej sali przeszyły go miecze,  
Wstyd idzie ku estradzie – czuje, jak go piecze.  
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze,  
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłucze,

Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,  
Rozsypuje po sali w tysiączne zagadki,  
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci,  
Nie pyta. Już jest w basie. Już tam się wyświęci.  
Raz, dwa, trzy, cztery – wali. Niechaj mu otworzą,  
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą,  
Niech mu końskie kopyta przelecą po twarzy  
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:  
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...

...Słyszysz sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni –

Ostrogą spiął melodię, a akompaniament  
Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt –  
Ku sali bagnetami już mierzy, już blisko –  
I ton jeden uparcie wybija – nazwisko!!!  
Wciąż czyste, w rozszalałe wplątuje się głosy  
I wali, wali w basie murem Saragossy,  
Oszalałych Hiszpanów wyciem, darciem, jękiem  
I znów wraca ku górze załzawionym dźwiękiem –  
W mazurze – nie – w mazurku idą wszystkie pary,  
By całą klawiaturę owinąć w sztandary.  
Zatrzymali się wszyscy w srebrzystych kontuszach,  
A klawikord im ducha rozpłomienia w duszach  
I wzdłuż długich szeregów przewija pas lity,  
Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity  
I wszystkie karabele jedną ujął dłonią,  
I uderzył w instrument tą piekielną bronią,  
Aż struna się ugięła, ta w górze, płacziwa.  
I cisza jest w wiolinie. Cisza przeraźliwa.

Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,  
Po czyichś smutnych oczach, jakiejś białej dłoni,  
Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,  
Po księżycu, po gwiazdach – mój Boże! mój Boże! –

Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,  
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.  
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada  
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.  
Wzrok wlepia martwy, ślepy, w jakiś punkt na ścianie  
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.

-----  
A on, blady jak ściana, płacze, zrywa tony  
I kolor spod klawiszy wypruwa – czerwony,  
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko  
I spojrział – taką straszną, otwartą powieką,  
Aż spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:  
„Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!”

3 / 44



KAZIMIERZ WIERZYŃSKI  
LISTOPAD 1918

To jest ostatnia jesień, niebezpieczna pora,  
I ostatnie zarosłe niewolą przystowie,  
Zwołajcie nocne zjawy i wpuśćcie upiora,  
Niech pyta – i niech naród mu teraz odpowie.

Niech spojrzą sobie w oczy, dwa widma i wrogi,  
I rozstrzygną, kto kogo na nowo powali:  
Ta przeszłość kościotrupia, talizman złowrogi,  
Czy tłum, co ciągnie z krzykiem i nie wie, co dalej.

Wybierać trzeba szybko, raz jeden – na wieki,  
Jeśli wolność – to twardą, bez łez i zalotów.  
To nic, że miasto śpiewa i płaczą powieki,  
Kto na wierzch ją wywłóczy – na wszystko jest gotów.

Sępm wzrokiem po kraju jałowym przeleci,  
Po ruinach, po nędzy rozległej dokoła:  
Musi zgarnąć i złożyć tę wolność ze śmieci  
I przepchnąć ją przed światem, i stawić mu czoła.

Bo na cóż liczyć, patrzcie! Ta garstka pielgrzymia,  
Co przed dworcem na deszczu wystaje i czeka,  
To jest wszystko – to pustkę bez dna wyolbrzymia,  
Otwiera loch nicestwa i straszy z daleka.

A jednak tylko oni, ta młodość po prostu,  
Co upartym czekaniem od lat się nie nuży,  
Z tego placu wypadnie i skoczy, jak z mostu,  
W ślepy mrok i na ślepo się w przyszłość zanurzy.

Natchnionymi płucami jej ciemność przedmucha.  
I udeptaną ziemię raz jeszcze rozdrapie,  
I z mroźnego szaleństwa przywoła tu ducha,  
By ogień w czterech rogach podkładał na mapie.

Najwyższy czas! Już wieje niebezpieczną porą,  
Już dymi mokry dworzec i dudni pociągiem.  
Czy teraz jesień wygnać – niech sami wybiorą –  
Czy martwe truchło wynieść do góry posągiem?!

Wstrzymajcie szumny pochód. Niech stanie na mieście  
I usta rozkrzyczane w milczenie pozbiera.  
Jedno jest tylko hasło, milcząco je nieście:  
Wierzy się lub nie wierzy, żyje lub umiera.



4 / 44

JÓZEF CZECHOWICZ  
PIŁSUDSKI

śnieżne konie śnieżycy po świętym marcinie  
zamięć dom tratowała a dom mocny wytrwał  
dawny czas w zegarach szafach skrzyniach  
litwa litwa

pryzmaty dachów tkwiły na wonnych ścian zrębie  
dachy strzegły i drzwi i serca okiennic  
ganek raźnie skrzykiwał do siebie gołębie  
prowadząc na ogródek ze sosnowej sieni

jezioro sine wolno szło do brzegu  
usypiając fale jak dzieci  
w domu dzieci bez kotysek kotysał spod śniegów  
jęczący nieustannie rok 63

inny teraz rok czoło marszczy się inaczej  
rusztowania maszty na 20 pięter mur  
czerwony ołówek to polityki karabin  
przekreślił pozycję starej rozpaczy  
organizować cyfry znaczy prowadzić szturm

czyżby koniec na akcjach gumy i jedwabiu  
ile milionów rocznie bluzgają nafciane wieże  
iloma miliardami fabryki gwizdzą i rzą

a jego nie zmierzyć  
on jest on

nie deszcz kwiecica czeremchy siny mundur oblepił  
krzyżów orderów gwiazd na piersiach jezioro więc srebrno  
dom na litwie belweder gorzej albo lepiej  
może wszystko jedno

sercem zagrać na mapach jak czerwoną kartą  
stuka pod wstęgą drgnęło zabolalo

stukającym będzie otwarte  
stukać czy nie za mało

działa bagnet nika to było 10 lat  
przygasły wybuchy śmierć ogniste smugi grzywy  
westchnieniem maszyn w tęgim znoju  
oddychają za miastem niwy  
domy ceglane chaty łakną chleba pokoju

belweder to także dom stary biały jak księżyc  
dwoje w nim oczu a tyle światła  
patrz nocą na tym domu widać jak ziemia cięży  
tam dźwiga ją na barach atlas



5 / 44



## WŁADYSŁAW BRONIEWSKI MŁODOŚĆ

Szły na wschód bataliony, szwadrony i pułki,  
drobny deszcz senne oczy żołnierzom zaklejał,  
chlupało mokre błoto na kołach i kółkach,  
płynęła mętna woda z rozmokłych kolein,

pały się chałupy, stodoły i stogi,  
pod biały namiot dymów kuliły się miasta. –  
A tam – na wschód – dudniły, turkotały drogi:  
tępo walił – czternasty, piętnasty, szesnasty.

I coraz ciężiej było nieść głowę na plecach,  
i coraz czarniej było w lasach na Wołyniu. –  
Ej, panie poruczniku, wysmukły jak świeca,  
ja wiedziałem, że ciebie kula nie ominie.

Zetrę ci z ust rękawem tę czerwoną rosę,  
źle tu leżeć na ziemi wśród końskiego ścierwa,  
podzielimy się jednym cienkim papierosem  
i skradzioną z węgierskich taborów konserwą...

Nie chcesz, stary, co?... Nie wiem, gdzie cię zakopali –  
pod Czartoryską Górą? Kuklą? Kamieniuchą?  
Dziś już nie ma nikogo z dwunastej kompanii  
i twojej maciejówki wciśniętej na ucho. –

Roztopiała się młodość brudnym, mokrym śniegiem,  
dławiły dni pochmurne, jak robactwo żarły,  
i już mi chłodne były jesienne noclegi,  
i z umarłymi byłem sam na pół umarły...

...Kowalski – rozerwany granatem. Ignaczak –  
cztery kule w pachwinę. Nowak – od szrapnela.  
Marciniak – kula w piersi... pamiętam, jak patrzył  
i skamlał umierając: „Wody... przyjaciele...”

Bracie! Ja cię napoję. Mam wodę w manierce.  
Ale ten marsz bez przerwy – i nigdy postoję...  
Ciężko. I nie wiem, czy mi bardziej cięży serce,  
czy na plecach tornister i dwieście naboji...

O, niechaj mnie to niebo zadławi i zniszczy,  
ja się nie ugnę przed nim – urągam i wzywam:  
hej, czarna artylerio, ostatni raz wystrzel  
okropnym, ślepym słońcem nad ziemią nieżywą,

chluśnij we mnie wulkanów żuzłem i żelazem,  
niech trajektoria tęczy na pół mnie rozetnie,  
niech groby oceanów pochłoną mnie – razem  
z pękniętym, głupim sercem – siedemnastoletniem.



6 / 44

CZESŁAW MIŁOSZ  
KOŁYSANKA

*Józefowi Czechowiczowi*

Nad filarami, z których smoła ścieka,  
w prowincji tej, gdzie salwa co dzień błyska,  
pod śpiew saperów o losie człowieka  
kołysze płacz dziecinny kołyska.

Kołysze, lula nowego bohatera  
w zapachu ognia i spalonych zbóż.  
Pluszczą pontony, tryska ptak zbudzony.  
Roz-kwi-ta-ły pęki białych róż.

Nie śpiewajcie, chłopcy, pieśni tej –  
porucznik mówi – bo zanadto smutna  
i tak już w wodzie mokniemy po pas.  
Nie bójcie się, tam w górze nie szrapnele –  
po prostu leci ogień sennych gwiazd.

Mój mały – szepczą dziecku w wiosce siwej  
od mgły armatniej – mały, bajkę chcesz?  
Więc była... rzeka nazwana Stochodem.  
W rzece mieszkała taka ryba, leszcz.

A leszcz był płaski jak miesiąc wieczorem,  
i pływał sobie, wodne kwiaty jadł,  
aż przyszedł ktoś nad wodę i zakrzyczał:  
wróć, u-ca-łuj jak za dawnych lat.

Zdziwił się leszcz, kto go wołać może.  
Ale dość bajki, śpijże już, mój mały.  
Jest inna bajka. Był raz sobie kraj,  
a w kraju żyta szerokie szumiały,  
szumiały żyta, szumiały i szły  
krajem pociągów pełne bochnów chleba,  
nad pociągami srebrny grał skowronek...  
Dalej nie umiem.

7/44

JERZY LIEBERT

## JESIEŃ NA MOGIŁACH WIOSENNYCH

To nic, że piasek powieki rozwarł,  
Ziarnami w usta, w uszy się wwiercił –  
Przez ziemię głuchą, przez wieko śmierci,  
Miasta miłego słyszemy rozgwar.

Jakże go trudno spod czaszki wygnać,  
Wrzawą po żyłach przebiega w tętna,  
Płynie powietrzem, napełnia cmentarz,  
Pod ziemią dzwoni, brzęczy jak sygnał.

Tupot stóp ciągły w mogiły wsiąka,  
Tupot nad nami dotąd nie zamilkł.  
Mierzą nas w marszu, mierzą krokami.  
Wkoło stóp tysiąc po nas się błąka.

Wiatr liście uschłe, wiatr próchna niesie,  
Deszcz szary tłucze w wieńce blaszane,  
Omywa szary, cmentarny kamień.  
Listopadowa wlecze się jesień...

Idą nad nami zmieszani z tłumem,  
Krok takt wybija, takt w trumny stuka,  
Wiatr krzyże schylił, deszcz wstęgi splukał,  
We mgłach nad nami jak kasztan szumi.

Barwną konnicą, szarą piechotą,  
Ciągną nad nami w poranki słotne –  
Piersi nas bolą, wieńce nas gniołą,  
Wieńce blaszane, wstęgi wilgotne!

Niepokój szumi w warszawskim wietrze,  
Stada jaskółek w górę wzleciały –  
To tylko z chwastów, z ścierni szerniałych  
Wilgoć trująca sączy się w przestrzeń.

Ciągną nad nami, płyną zwycięsko  
Kwiaty u hełmów, w lufach gałązki...  
O, matko-śmierci! W wietrze się trzęsą  
Bezlistne drzewa – różgi liktorskie!...





8 / 44

JAN LECHOŃ  
PIŁSUDSKI

Czarna Rachel w czerwonym idzie szalu drżąca  
I gałęzie choiny potrąca idąca –  
Nikogo nie chce budzić swej sukni szelestem,  
I idzie w przód jak senna, z rąk tragicznym gestem,  
I wzrokiem, błędnym wzrokiem gasi mgieł welony,  
I świt się robi naraz. I staje złękniony.  
Pobladłe Robespierri, cisi, smutni, czarni,  
Wychodząc, z hukiem drzwiami trzasnęli kawiarni.  
Na rogach ulic piszą straszną ręką krwawą,  
Uśmiechają się dziwnie i giną na prawo.  
Tylko słyszeć nóg tupot na ulicy pustej  
I szept cichy. Trup jakiś z zbielełymi usty –

I gdzieś kończy muzyka jakiś bal spóźniony.  
Pod lila abażurem mrugają lampiony.  
Białych sukni w nieładzie senność, ciepło, zmiętość  
I piersi, krągłych piersi obnażona świętość,  
I mazur, biały mazur w ogłupiałej sali:  
Dziś! dziś! dziś! Wieś zaciszna i sznury koralu.  
Roztańczyła się sala tęgim nóg tupotem.  
Hołubce o podłogę walą, biją grzmotem,  
Białe panny i panny niebieskie, różowe  
Przelotnie a zalotnie przechylają głowę  
I mówią czarnym frakom: „Przyjdźcie do nas jutro”  
I podają im usta za podane futro.

A kiedy świt różowy przez żaluzje wnika,  
Dla siebie, nie dla gości, gra jeszcze muzyka.  
Menuetem się cichym wiolonczela żali,  
I białe margrabiny przychodzą z oddali.  
Na liliowych oparach spływają bez słowa,  
I panier rozłożyła markiza liliowa,  
Kawaler podszedł blady. Pani tańczyć każe!  
I tańczą hafty, sprzączki, koronki, pliumaże.  
A w klarnet, flet i skrzypce, w ukłony margrabiny

Czerwoną, rozwichrzoną wpada nutą Skriabin.  
Drze ciszę dysonansem, wali w okiennice,  
Muzykę wyprowadza przed dom, na ulice,  
Na place, rozkrzyczane w potępieńcze ryki,  
I rzuca w twarz akordom zgłodniałe okrzyki,  
Na ziemię je obalił i kopie z rozpaczą:  
Otworzyć wszystkie okna! Niech ludzie zobaczą!!

Wielkimi ulicami morze głów urasta  
I czujesz, że rozpękną ulice się miasta,  
Że Bogu się jak groźba położą przed tronem  
I krzykną wielką ciszą... lub głosów milionem.  
A teraz tylko czasem kobieta zapłacze –

-----  
Aż nagle na katedrze zagrali trębaczeli!  
Mariackim zrazu cicho śpiewają kurantem,  
A później, później bielą, później amarantem,  
Później dzielą się bielą i krwią, i szaleństwem,  
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem,  
I dławią się wzruszeniem, i płakać nie mogą,  
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwogą –  
A ranek, mroźny ranek sypie w oczy świtem.  
A konie? Konie walą o ziemię kopytem.  
Konnica ma rabaty pełne galanterii.  
Lansjery-bohaterzy! Czołem kawalerii!  
Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!  
Katedra oszalała! Ze wszystkich sił dzwoni,  
Księża idą z katedry w czerwieni i złocie,  
Białe kwiaty padają pod stopy piechocie,  
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!

-----  
A On mówić nie może! Mundur na nim szary.

*przypisane Helenie Sulimie*



9 / 44

## KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA LIST MATKI ŻOŁNIERSKIEJ

„Ja stara – osiemdziesiąt blisko lat!  
Syn mój pod Twoją wodzą w boju padł.  
Już tyle zbiegło zim... Jesteśmy sami  
od śmierci Janka mego pod Krzywopłotami.  
Córka z dziećmi – na kresach: zięć ma posterunek  
daleko na wsi, a poczta – Boruny.  
Gdy będziesz, Panie Wodzu, kiedyś miał me lata,  
poznasz, jak serce żywiej wspomnieniem kołata,  
jak dni się czepia jasnych i weselszych godzin,  
a dzieciństwem swych dzieci bawi się najłodziej.  
Tak ja, choć mąż, staruszek mój – przy moim boku,  
do mego Janka wracam i odeń – ni kroku!  
Jak mądry był na podziw od dziecięcia,  
jak zawsze czuł, co się w mem sercu święci,  
jak ludziom był przylepką, jak lubił zwierzęta...  
Jan Cieślak... Może Pan Marszałek zapamiętał?  
Oczy miał siwe, zdrowie nieco liche,  
gdy prędko biegał – tak mocno oddychał...  
...Do Legionów... Boże mój!... Rozumiem... dla idei...  
Oł, i rozbiera mię już i list się już dalej nie sklei...  
Żem śmiała w ogóle... O, Wodzu, Generale,  
niedługo moich dni! Jak lichy knot się palę.  
Nie mam do kogo tu przemówić słowa;  
mój dziaduś drzemie tylko i za piec się chowa,  
sąsiadki i krewniaczki tyle że labiedzą:  
»Oł, syn zginął we wojsku. Teraz – sami siedzą!«  
Nie rozumie ich rozum, myśl się nie domyśli,  
jak oni dom rzucili, jak do Ciebie przyszli,  
jakeś ich uczył, jaka była bieda  
– żeś sam nic nie miał, toś też im nic nie dał!  
Jak ten młodziutki żołnierz, od biura i sochy,  
od gnoju i od pędzla, jak on Ciebie kochał!  
Ja stara – ja wiem, jużem przepłakała  
te lata. Już do Janka blisko, Bogu chwała!  
I nie trzeba mi nic... Wiek mój, jak sen starości, tak lekki...

Tylko bym chciała – kiedy uniesiesz powieki  
i spojrzysz na ten arkusz, pisany koszlawo  
– byś przypomniał na chwilę, Ty, wśród Twojej sławy,  
chwały, wielkości, w której budzisz się co ranka,  
na jedną tylko chwilę, twarz mojego Janka!...  
...Byś razem ze mną spojrział... bo Ci on był miły,  
wiem... Bo kochałeś ich też... I jak pomnik strzeżesz ich mogiły,  
trawy, na której padli, i kamieni, pod którymi leżą,  
i wierzyłeś w Polskę i w nich i w Boga wiekuistego...

Amen. I ja tak wierzę.”





10/44

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI  
MANNLICHER

Nie głaskało mnie życie po głowie,  
nie pijałem ptasiego mleka –  
no i dobrze, no i na zdrowie:  
tak wyrasta się na człowieka.

Byłem jeszcze zupełny szczeniak,  
kiedym wziął karabin do garści,  
żeby w śmierci, w grozie zniszczenia  
zaciąć usta i czoło zmarszczyć.

Nauczyło żołnierskiej krzepy  
życie trudne, twarde i liche.  
Byłem wtenczas jak szczeniak ślepy,  
na świat patrzył za mnie mannlicher.

Dowiedziałem się, o czym milczy  
czarny Styr i zielony Stochód...  
Gryzą ziemię moi najmilsi,  
nawqchali się dosyć prochu.

Cóż im wyznać w serdecznym słowie,  
gdy się młodość jak cmentarz przyśni?...  
Nie głaskało mnie życie po głowie,  
nie doszedłem tam, dokąd szliśmy,

ale idę jak żołnierz dalej,  
inny, dalszy, trudniejszy cel mam,  
i jak stary mannlicher wali  
wiesz mój gniewny – broń szybkostrzelna.

11/44

JAN LECHOŃ  
HEROSTRATES

Czyli to będzie w Sofii, czy też w Waszyngtonie,  
Od egipskich piramid do śniegów Tobolska  
Na tysięczne się wiorsty rozsiadła nam Polska,  
Papuga wszystkich ludów – w cierniowej koronie.

Kaleka, jak beznodzy żołnierze szpitalni,  
Co będą ze łzą wieczną chodzili po świecie,  
Taka wyszła nam Polska z urzędu w powiecie  
I taka się powlokła do robót – w kopalni.

Dziewczyna, na matczyne niepomna przestrogi,  
Nieprawny dóbr sukcesor, oranych przez dzieci,  
Robaczek świętojański, co w nocy zaświeci,  
Wspomnieniem dawnych bogactw żyjący ubogi.

A dzisiaj mi się w zimnym powiewie jesieni,  
W szeleście rdzawych liści, lecących z kasztanów,  
Wydała kościotrupem spod wszystkich kurhanów,  
Co czeka trwożny chwili, gdy ciało odmieni.

O! zwalcież mi Łazienki królewskie w Warszawie,  
Bezduzne, zimnym rylcem drapane marmury,  
Pokruszcie na kawałki gipsowe figury,  
A Ceres kłosonośną utopcie mi w stawie.

Czy widzisz te kolumny na wyspie w teatrze,  
Co widok mi zamknęły daleki na ścieżaj?  
Ja tobie rozkazuję! W te słupy uderzaj  
I bij w nie, aż rozkruszysz, aż ślad się ich zatrze.

Jeżeli gdzieś na Starym pokaże się Mieście  
I utkwii w was Kiliński swe oczy zielone,  
Zabijcie go! – A trupa zawleczcicie na stronę  
I tylko wieść mi o tym radosną przynieście.

Ja nie chcę nic innego, niech jeno mi płacze  
Jesiennych wiatrów gęźba w półnagich badyłach;  
A latem niech się słońce przegląda w motylach,  
A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę.

Bo w nocy spać nie mogę i we dnie się trudzę  
Myślami, co mi w serce wrastają zwątpieniem,  
I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniem,  
Czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę obudzę.



12/44



BRUNO JASIEŃSKI  
BUT W BUTONIERCE

Zmarnowałem podeszwy w całodziennych spieszeniach,  
Teraz jestem słoneczny, siebiepewny i rad.  
Idę młody, genialny, trzymam ręce w kieszeniach,  
Stawiam kroki milowe, zamaszyste, jak świat.

Nie zatrzymam się nigdzie na rozstajach, na wiorstach,  
Bo mnie niesie coś wiecznie, motorycznie i przed.  
Mijam strachy na wróble w eleganckich windhorstach,  
Wszystkim kłaniam się grzecznie i poprawiam im pled.

W parkocieniu krokietni – jakiś meeting panieński.  
Dyskutują o sztuce, objawiając swój traf.  
One jeszcze nie wiedzą, że, gdy nastał Jasieński,  
Bezpownotnie umarli i Tetmajer i Staff.

One jeszcze nie wiedzą, one jeszcze nie wierzą.  
Poezyjność, futuryzm – niewiadoma i X.  
Chodźmy biegać, panienki, niech się główki oświeżą –  
Będzie lepiej smakować poobiedni jour-fixe.

Przeleciało gdzieś auto w białych kłębach benzyny,  
Zafurkotał na wietrze trzepocący się szal.  
Pojechała mi bajka poza góry doliny  
I nic jakoś mi nie żal, a powinno być żal...

Tak mi dobrze, tak mojo, aż rechoce się serce.  
Same nogi mnie niosą gdzieś – i po co mi, gdzie?  
Idę młody, genialny, niosę BUT W BUTONIERCE,  
Tym, co za mną nie zdąży, echopowiem: – Adieu! –

13/44

## JULIAN PRZYBOŚ RÓWNANIE SERCA

Powietrze uduszono sztandarami.  
Pod wszystkie triumfalne bramy  
zbuntowani podkładają dynamit!

Kim jestem? Wygnańcem ptaków.

Stół pod moim piórem wezbrawszy do samych krawędzi  
przebiera swą miarę,  
jak czołg, gdy ma ruszyć do ataku.  
Dom już dziś płonie we mnie jutrzejszym pożarem,  
serce atakuje mię prędeż.

Szrapnel pęka ze słupów latarni:  
lampy zapalono na ulicach jednocześnie.  
Dzień mija w zbrojnej pieśni żołnierskiej, rzezi.

Z rudej trawy zjeżyły zebra poległych darń.

Żywy idę miastem będącym, a już tylko byłym.

Kim jestem? Wygnańcem ptaków.

Ogrody – Nów jak cień wschodzący z gałęzi –  
Świat beze mnie się spełnia wolny i bezczuły,  
i tylko liści jesiennych opada na głowę laur.

...abym już nigdy nie ucichł.

Łagodny  
każdą kieszeń obróciłbym w gniazdo dla jaskółek  
odlatujących od ludzi.

14/44

## JULIAN TUWIM MIESZKAŃCY

Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach  
Strasznie mieszkają straszni mieszcianie.  
Pleśnią i kopciem pełźnie po ścianach  
Zgroza zimowa, ciemne konanie.

Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,  
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.  
Trochę pochodzą, trochę posiedzą,  
I wszystko widmo. I wszystko fantom.

Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie,  
Krawacik musną, klapy obciągną  
I godnym krokiem z mieszkań – na ziemię,  
Taką wiadomą, taką okrągłą.

I oto idą, zapięci szczerze,  
Patrzą na prawo, patrzą na lewo.  
A patrząc – widzą wszystko oddzielnie:  
Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...

Jak ciasto biorą gazety w palce  
I żują, żują na papkę pulchną,  
Aż, papierowym wzdęte zakalce,  
Wypchane głowy grubo im puchną.

I znowu mówią, że Ford... że kino...  
Że Bóg... że Rosja... radio, sport, wojna...  
Warstwami rośnie brednia potworna  
I w dżungli zdarzeń widmami płyną.

Głowę rozdętą i coraz cięższą  
Ku wieczorowi ślepo zwieszają.  
Pod łóżka włazą, złodzieja węższą,  
Łbem o nocniki chłodne trącając.

I znowu sprawdzą kieszonki, kwitki,  
Spodnie na tyłkach zacerowane,  
Własność wielebną, święte nabytki,  
Swoje, wyłączone, zapracowane.

Potem się modlą: „...od nagłej śmierci...  
...od wojny ...głodu ...odpoczywanie”  
I zasypiają z mordą na piersi  
W strasznych mieszkaniach straszni mieszczanie.



15/44



## MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA CIOTKI

Ciotki nie były piękne, nie miały nic z wróżek.  
Były dzielne, szczawiowe, barchanowe żony.  
Nie miały złotych włosów ani cienkich nóżek,  
ani oczu złowrogich o rzęsach zdziwionych.

Brały serio swe dzieci, kwiaty i owoce,  
mężów trzymały krótko, perfum nie lubiły,  
zasypiały spokojnie w księżycowe noce,  
pełne kurzej tężyzny i jaglanej siły.

Jedynie ciocia Jola wiotka i pachnąca  
przypominała wróżkę i paryską lalkę.  
Chodziła w piórkach ptasich i tiulach ze słońca,  
całowała, podnosząc gwiaździstą woalkę...

Wkrótce ją jakieś wichry żałosne rozwiały  
wśród wiosennych błyskawic i szumów ponurych...  
Zgrzebne ciotki płakały – lecz nic nie wiedziały,  
jaki był smak miłości i... trutki na szczury.

16 / 44

STANISŁAW BALIŃSKI  
NIE MOGĘ, PANIE, PATRZEĆ...

Nie mogę, Panie, patrzeć w gwiazdy i w obłoki,  
Bo mi czernieją w oczach dale planetarne; –

Oh, niebo jest za wielkie, a świat za szeroki:  
Odbierz nam niebo, Panie, i serca daj czarne.

Zagaś ostatnie słońce na bladej północy  
I każ, niech na równiku stokrotnie zaświeci,

Napełnij wielkim strachem oczy sinej nocy,  
Żeby zasnąć nie mogli wariaci i dzieci.

Upokarzaj ambitnych, a skromnych poniżaj,  
Mężnych napawaj lękiem, co zamyka usta, –  
Kochankom weź krew z serca i pomieszaj z wiatrem,  
A cały sens miłości zamień w słowo puste.

Szczęśliwym, którzy w życiu niczego nie pragną,  
Przysuń tysiące pragnień, jak wonnych ogrodów,  
A marzycielom mądrym – daj tysiąc zawodów  
I zamiast tłąk pachnących – odkryj smutne bagno.

Kasjerom w bankach podsuń pilniki ze stali,  
Stróżom nocnym godziny płacz, żeby się bali,  
Naiwnym psuj uśmiechy i minki gotębie,  
Głupim odkryj – jak w lustrze – świadomość, co gnębi.

Dowcipnym odbierz dowcip. Niech się nikt nie śmieje.  
Odjeżdżającym odbierz ochotę do jazdy,  
Zakonnikom – jałmużny, a poetom – gwiazdy,  
Wszystkim biednym, strapionym i chorym – nadzieję.

Mnie wreszcie, tęskniącego za ogromnym światem,  
Uwięź, Panie, w miasteczku cichym i uśpionym,  
Nie pozwól mi zapomnieć o jazdach szalonych  
I zaduś mnie prowincją – jak starym krawatem...

17 / 44

WŁADYSŁAW SEBYŁA  
MODLITWA

Boże! Luń świetną jasność świetlistą strugą z wiadra  
Rybie, co schnące skrzela na ostrym piasku targa.

Zdejm starcze bielmo z oczu ogłupiałego konia,  
Który zapomniał chrzęstu runiastych traw na błoniach.

Brudnemu psu, włóczędze, zapadłe wygładź boki,  
Radośnie pozwól szczekać pod niebem – pod wysokim.

Swarliwym wróblom posyp garście grubego ziarna,  
Niech mielą swoje kłótnie na świergotliwych żarnach!

Wróc uśmiechniętą młodość chłopcom dwunastoletnim  
O starczych, zmiętych twarzach – przed sądem dla nieletnich.

A matkom-suchotnicom pierś słodkim mlekiem odmij,  
By mieli co ssać nadzy synkowie pierworodni.

Pozrywaj twoje gwiazdy i rozrzuć je po ziemi,  
Dzwoń w nie, by trzaski iskier usłyszeć mogli niemi!

I rozwieś ślepcom tęcze w oczach znieruchomiąłych.  
Rzuć im odmęty wirów czerwonych, modrych, białych,

A rybie, targającej skrzela na sypkim piasku,  
Rzuć tylko jedną kroplę Twego płynnego blasku!

18 / 44

## KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA WSZYSTKO, CO BĘDĘ MIAŁA

Będę miała gronostaje i lisy,  
kapelusze duże i obłoczne,  
tylko jeszcze podumam, poczekam,  
tylko jeszcze na chwilę odpocznę.

Będę miała w pozłacanej obroży  
malutkiego bonończyka na sznurku,  
tylko jeszcze popatrzę, posłucham,  
jak się kłóćcą wróble na podwórku,

jak się pająk, spuszcany po rękę,  
cienkiej nitki mocno, mocno czepia,  
jak wieczorem z pnia grubej akacji  
patrzą sowy krągłe, krasne ślepia.

Będę miała błyszczące lakierki  
małe – ledwo się zmieszczą na dłoni –  
i ogromny sapiący samochód,  
co pojedzie z siłą dwustu koni.

Będę miała walansjeny, koronki,  
przezroczyste batysty i tiule,  
tylko jeszcze raz cichutko przeliczę  
te podarte cztery biedne koszule;

te, przez które, jak przez siatkę przejrzystą,  
przebłyskuje z każdym ruchem skóra,  
że ja nawet sama nigdy nie wiem,  
gdzie się kończy koronka, gdzie dziura;

tylko jeszcze raz przesunę, nawłokę  
sama wstążki – wyblakłe, różowe,  
zaceruję cienką, cienką nitką  
ramię coraz bardziej „koronkowe”.

Tylko jeszcze raz z głębokim westchnieniem  
na dno samo koszyka położę  
wszystko, co się stało siatką samą,  
czemu żadna igła nie pomoże...





19/44

JULIAN TUWIM  
OGRODY SZPITALNE

Uchwyc tę dziwną chwilę, tę niewysłowioną,  
Co zwykle po południu schodzi na ulicę  
W dni świąteczne – i żale cię drżące owioną,  
I poczujesz niezmierną w swym sercu tęsknicę.

Zobaczysz nudę ludzi i ulic zwątpienie,  
Niepokój zbytniej ciszy, żal słów pożegnalnych,  
I zbudzi się w twej duszy łagodne znużenie:  
Ewangeliczny smutek ogrodów szpitalnych.

...Dzwoni gdzieś jednostajny, monotonny dzwonek,  
Na drzewach nagich – gniazda samotnych jaskółek,  
Wdowie smutki, apatia, sieroty z ochronek,  
Ktoś nieładny w żałobie i starców przytułek...

Uchwyc tę dziwną chwilę... Ludzie siedzą w domu,  
Ulice, suche, czyste... Gdzieś śpiew niewesoły...  
I taki smęt poczujesz, nie znany nikomu,  
Jak uczeń, co ostatni wychodzi ze szkoły.

20/44

## FELICJA KRUSZEWSKA PROSTYTUTKA

Jak przybitą mnie trzymał do łóżka  
przez noc całą do szarego rana.  
Spadła czysta na ziemię poduszka,  
kiedym kładła się z nim spać pijana.

Na mej twarzy gorące dyszały  
usta całe wódką przesiąknięte,  
i ramiona mnie obejmowały,  
jakby więzy, jak łańcuchy przeklęte.

Och, gorąco było i czerwono  
i dymiła zagaszona świeca.  
Twarz miał mokrą od potu i słońca,  
dolatywał przykry śwąd od pieca.

Bóg jest pewno nad wszystko surowszy,  
że tej nocy nie uczyni krótką.  
Kiedy zasnął, na brzeg mnie zepchnąwszy,  
chciałam płakać cichutko, cichutko.

Kiedy wreszcie wychodził przed świtem,  
to mi rzucił pieniądze i wyzwisko.  
Coś jęczało jak w dzwonie rozbitym  
to daleko, to znów bardzo blisko.

Pełno było dymu z papierosa,  
w piersiach kłuło mnie coś tak głęboko.  
Na stół weszłam w koszuli i bosa,  
otworzyłam okienko szeroko.

Było cicho – cicho – błękitno.  
Mały wróbel po dachu skakał.  
Coś krzyknęłam okropnie do Boga.  
Bóg zrozumiał. Białym śniegiem płakał.

21/44

JÓZEF CZECHOWICZ  
POD DWORCEM GŁÓWNYM W WARSZAWIE

z okien bryzgało blaskiem  
królował w niklach bufet  
biły pod sufit płaski  
fontanny kwiatów kruche

są tam firanki płyną  
dają tło ceniom sytych  
czy to nocną godziną  
czy szronowym przedświtem

alkoholu symfonie  
fugi jarzyn i mięsa  
ciszej grajcie w agonii  
żywy głód się wałęsa

jeden głód kaszle szczeka  
drugi głód palce łamie  
na cóż trzeci głód czeka  
drżąc we wnęce przy bramie

wielokie zarosłe  
twarze głodów człowieczych  
to są biedne księżyce  
spustoszałych wszechrzeczy

dyszka kaszląją w runo  
wytartego szalika

mówię wam przez nie runą  
mocne twierdze jerycha

22/44



## ANDRZEJ WOLICA DO TOWARZYSZA ZECERA

Nasza drukarnia była na czwartym czy piątym piętrze,  
w wysokim domu nad Wisłą, w sieni z podwórza na lewo.  
Okna patrzyły daleko w wolną, szeroką przestrzeń  
i w Wisłę ciągnącą leniwie barki z jabłkami i drzewem.

W dole był Solec z szeregiem małych pokracznych domków,  
a w dwóch pokojach na górze słońce mieszkało co dzień.  
Nigdy nie wpłynął na Wisłę potężny okręt Patiomkin.  
Warszawa konała milcząc, w pokorze i w żrącym głodzie.

Kiedy dwóch szybko składało, trzeci stał w oknie otwartym.  
Wpatrzony w wolną przestrzeń, był wolny i wyniosły.  
Twardo dyktował zdania, czerwone, gorące, twarde,  
mówił najprostsze słowa, stylem z prostych najprostszym.

Dwa małe pudełka czcionek i pedałówka śmieszna.  
W pokracznych domkach Solca, od farby arkusze mokre.  
Korekta szybka, nerwowa, i błędy w każdym wierszu.  
I nocy zapadła zasłona nad Wisłą i nad oknem.

Towarzyszu zecerze! Stary, zwiędły człowieku,  
nie znalazłem twego nazwiska, gdy przyszli nocą żandarmi.  
Spotkamy się znów przy robocie, by słowa na czyny przekuć  
i praktykować radośnie w wolnej, słonecznej drukarni.

23/44

MAURYCY SZYMEL  
GENEALOGIA

*Teć są imiona Synów Izraelskich, którzy weszli do Egiptu...*  
(Exod. I. 1)

Teć są imiona moich sióstr i braci,  
Wylęgłych z ciemnych domów smutnego przedmieścia:  
Abraham – szlifierz, który rękę stracił,  
I Dan, o którym zaginęły wieści.

Efraim uciekł w noc do Amsterdamu –  
(Nas wszystkich gnają wiatry w świat szeroki)  
Ruta została. Gospodarzy z mamą  
I pisze listy do wuja z Milwaukee.

Starej mej matce Chana jest na imię,  
A Zew – dziadowi memu z Toporowa –  
Dziad bywał u nas raz do roku w zimie  
I zapalał na oknie świeczki chanukowe.

A ja – układacz wierszy.

Gdy z lip się pierwsze kwiaty posypały  
I cieniem w słońcu chwiały się kasztany,  
Ja – nocą wiersze gorzkie układałem,  
W nie mojej mowie zgubnie zakochany.

Dziś wiem, że smutek wieczny jest jak księżyc  
I nieobjęty, jak nocny firmament –  
Choć wierszem śmierci nie da się zwyciężyć,  
Wiecznie kochamy, wiecznie umieramy.

24/44

ANTONI SŁONIMSKI  
ROZMOWA Z RODAKIEM

Stary Żyd mnie zapytał koło Jaffskiej Bramy:  
– Ogród Saski jest jeszcze? Ciągle taki samy?

Jest fontanna? Przy wejściu od Czystej ulicy,  
Tam sklep z wodą trzymali dawniej cukiernicy.

– Wszystko jest tak jak dawniej: fontanna i kioski.  
Tylko stoi tam jeszcze księżę Poniatowski.

– Poniatowski! Polskie wojsko, jak to się mówiło...  
Nie wiem, jak tam teraz, dawniej dobrze było.

Ja jestem trochę słaby. Jak ja się poprawię,  
Ja chcę jechać; ja pragnę zamieszkać w Warszawie.

Nawet mam tutaj kupca; jak się wszystko sprzeda,  
To może będzie dosyć... Tylko syn mi nie da.

On bardzo wykształcony; też nazwisko Lewi,  
Jak ja mówię o Polsce, on nic z tego nie wie.

Ja mu mówię, tłumaczę sam, jak tylko umiem:  
„Przecież tam jest Warszawa!” To on nie rozumie.

25 / 44

## MIECZYSŁAW JASTRUN

### BAJKA

Niewiniątka, chłopczyki, przyjaciele zwierząt,  
Gdy rysujecie kredą koła na chodniku  
Śmiejąc się, któż by przy was śmiał pomyśleć: rzeź.  
Ale ona już blisko jak Zła Niańka klęczy,  
Herodiada, miednicę trzyma krwi i ręcznik –  
I widzi już dymami rozkopaną wieś,  
W której skonacie tocząc bryły krzyku...

Tam was wrzucą do wspólnego dołu.  
Przywalą werblem skaczących grud,  
Byście nie wstali i nie przerazili  
Tych, co rzucili kości i popioły  
W workach olbrzymich z zachodu na wschód.

Już słyszę szelest waszych proporców.  
I kogut pieje w otwartą noc,  
W zimową, szklaną noc, proroctwo  
Z przestrzeni tych nie zamrożonych mową.

26 / 44



## STANISŁAW WYGODZKI BUTY

Tych butów nikt nie zdjął do snu  
i nikt ich nie obuł rano.  
Wyciągam je wczesną wiosną  
i kładę na ziemię zoraną.

Wyciągam z błota i grudy  
pod ciche wiosenne wieczory  
kawaleryjskie buty  
artyleryjskie buciory.

Stukają ciężko podkute  
na drogach zdeptane i płaskie  
związane kolczastym drutem  
gliną obrosłe i piaskiem.

Przednie uszyły je mistrze  
na miarę żołnierskiej nogi.  
Teraz wyciągam z nich piszczel  
na polu nieznanym mogił.

Maszerowały tu chłopem  
a może wysmukłym chłopcem?  
Z cholew kościstą stopę  
wytrząsam pod siana kopcem.

Sam kroczę w żołnierskich butach  
na polach Verdun wczesną wiosną.  
Krzaki splecione drutem  
suchym piszczelem rosną.

Z nóg zrywam buty z podeszwą –  
zdzieram kłęb sznurowadła  
i nagle z podbić i ze szwów  
stopa ma kością wypadła.

Gdziekolwiek spłynę na północ  
pod słońcem czy mroźnym wieczorem  
piszczel uderzy o czołno  
moim żołnierskim buciozem.

Czy pójdę ciepłym zachodem  
piaskami, które cień mój rozciął  
zmęczony usiądę nad wodą  
toń mącić obutą kością.

Już zawsze będą mnie gonić  
sen mój zagłuszać i budzić  
buty człapiące w pogoni  
na stopach zabitych ludzi.

Słyszę, jak kroczą po polach  
na zdrowych żołnierskich stopach  
z Verdun po ostępy Podola –  
grzmot, którym dudni Europa.



27/44

## JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

### ZIMA

I oto białe leżą na wszystkim zasłony.  
Z siwego nieba chmurą upadają gwiazdy  
Zabite śniegiem. Lecą kracząc wrony,  
I sanie gwizdzą gotowe do jazdy.  
Wstańmy i chodźmy. Nie wkładaj okrycia.  
Ogrzeją nas wszak świerki i śniegowe zwoje,  
Wejdziemy jak najdalej w głąb naszego życia.  
Ja patrzę w twoje oczy, a ty popatrz w moje.  
Na dnie, za śniegiem i za zimnym lodem  
Czarne źródełko cierpi i wodę wylewa,  
Nie idź przede mną, droga, ja nie pójdę przodem,  
Razem słuchajmy życia, co pod zimą śpiewa.  
Coraz ciemniej, śnieg spada na nasze powieki,  
Zawierucha otacza nas swą białą płachtą.  
Jeszcze tylko ostatni ślad drzew: świerk kaleki,  
Któremu wierzch ucięto, jeszcze sosny pachną,  
A już nic, a już czarność, woda zamarznęta,  
Kilka błysków na oknach, których nie wspomnimy,  
I zimne twoje zęby, twarz, co nie pamięta...  
Chodź, chodź, spoczniemy wreszcie w czarnym cieniu zimy.  
Bo potem śnieg stopnieje i splot traw urośnie,  
Inne zapachy wstaną i ludzić nas zaczną,  
Goła ziemia w pierwotnej męczarni rozpocznie  
Myśleć o wiosnie.  
Prędszej, prędszej, do śniegu, samotni, do ziemi,  
W lód szerniały krew nasza czarna się roztrwoni,  
Prędszej zasnąc zimowo: a nad zbawionymi  
Nigdy już nowa wiosna życiem nie zadzwoni.  
Bo przysięgam, i uwierz patrząc w moje oczy,  
Niech się w nich wieczna prawda jak scena odśłania:  
Nie ma, nie ma, ach, nie ma – zima serce mroczy,  
I śnieg całunem wieje – nie ma zmartwychwstania.

28 / 44

CZESŁAW MIŁOSZ  
TY SILNA NOC...

Ty silna noc. Do ciebie nie dosięga  
ni płomień ust, ni chmur przejrzystych cień.  
Słyszę twój głos po ciemnych snu okręgach  
i świecisz tak, jakby nadchodził dzień.

Ty jesteś noc. W miłości leżąc z tobą  
odgadłem los i bojów przyszłych zło.  
Ominie plebs, a sława przejdzie obok  
i pryśnie muzyka jak butem tknięte szkło.

Wrogowie mocni są, a ziemia nazbyt wąska  
i ty, kochana, jesteś wierna jej.  
U ziemskich wód czarnego bzu gałązka,  
wiatrem przygnana z niewiadomych kniej.

Ogromna mądrość, dobroć niekobieca  
jest w twoich kruchych rękach, o Śmiertelna.  
I blask poznania na czole prześwieca:  
stulony księżyc, nierozwita pełnia.

29/44



JERZY LIEBERT  
BOŻA NOC

Pokąd mnie będziesz gnębił, gniótl,  
Smolisty stropie – smołą trwożył?  
Rozdawco plag, szafarzu cnót,  
Bezgwiezdny szpiegu boży!

Dokąd mnie wzywasz? Wołasz, skąd –  
Kogucim śpiewem o północy,  
Zza szyb, w świetlicy każdy kąt  
Hyzopem wpływasz nocy?

Budzisz mnie, grozisz – czegoś chcesz,  
Nieludzki, od mych spraw człowieczych,  
Powiedz, o jaką stoisz rzecz,  
Ty, ciemny Sens Wszechrzeczy?

W smolistej pustce głos twój brzmi,  
Kołuje, dzwoni przenikliwy.  
Za co mnie ścigasz? Płoszysz sny,  
Trapisz, żywiole mściwy!

Wiesz dobrze, nie od dziś ten spór  
Trwa nierozumny między nami...  
Dość! Dość już! Niech raz zmilknie kur,  
Złowróźbny ptak otchłani.

30 / 44

JERZY LIEBERT  
KOGUTY

*Romanowi Gineyce*

Rzęząc, z brodą u kolan, bryła mięsa ciepła,  
Niezgrabnie, niedołącznie wypływam na jawę –  
Odcięta głowa wolno z tułowiem się zrasta  
I w blaskach snem ocieka na pledy jaskrawe...

Wyratowany, śpiewem zawrotnym znaglony,  
Żebrom moim i biodrom ufnie wracam siebie,  
Powieki zapuchnięte z trudem się unoszą –  
Widzę, topielec były, – KOGUTA NA NIEBIE!

Płynię, ścigany z dołu kogucimi wrzaski,  
Wyższy nad kurze grzędy – pąsowe reduty!  
W obłoki odlatuje, w naręcza jarzębin,  
On, kur na wysokościach! Śpiewajcie, koguty!...

31/44

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ  
WODA, ZIELONA I GŁĘBOKA...

Woda, zielona i głęboka,  
Powoli mi zalewa usta,  
I świat ogromny, świat szeroki  
Posoką w ustach moich chlusta.

Przecieka mi przez słabe dłonie,  
Ucieka – ach, niedotykalny,  
I ręka, która za nim goni,  
Zastyga w gest na pół błagalny.

O ziemio-wodo! Wszystko inne  
Wydaje się nierzeczywiste –  
I przez zielone tafle płynne  
Przebłyska światło wiekuiste.

32/44

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI  
ZIOŁA

Coraz dłużej nie mogę zasnąć.  
Noc jest trumną nad sercem zamkniętą.  
Nocne myśli, jak cmentarz, pachną  
macierzanką, piołunem i miętą.

Zrywam suche badyle i chwasty,  
zioła gorzkie, którym znał przed laty,  
moje słowa nocą nad miastem  
wyrastają jak czarne kwiaty.

Kwiaty mówią, że radość pierzcha  
jak mgła lekka pod wiatru tchnieniem,  
że jak słońce zbroczone o zmierzchu,  
moją głowę pochyla znużenie.

Oto idę spokojnie na zachód  
w pustce głuchoj, pod niebem cichym,  
na cmentarzu dalekich zapachów  
niepojętą goryczą oddycham.

Przysłuchuję się dzwonnym dziewannom,  
żółtym dzwonkom na nagich badylach,  
cień złowieszczy kołysze się za mną,  
coraz niżej ku ziemi się schyla.

Chmura pełźnie liściem łośpucha,  
dymem czarnym nad słońca zgliszczem,  
w pieszczel ostu przeciąggle, głucho  
wicher prędko nad polem świszczce

i rozlewa się krew wieczoru,  
jak czerwone jarzębin korale,  
i ust piołun wysącza gorycz,  
i zakwita kwiat serca – szalej.

Róża polna gałęzią cierniową  
wrosła we mnie, bym nie mógł odejść –  
to dlatego krwawi każde słowo,  
to dlatego tak boli młodość.

O, jak pachną okrutne zioła.  
Dzwoni głucha pustka nade mną.  
Szumią skrzydła czarnego anioła –  
przelatuje nad sercem bezsenność

i drży serce, i lęka się nocą,  
i niczego nie umie zapomnieć.

Ten wiersz napisałem przemocą  
i ten wiersz mówi tylko o mnie.





33/44

STANISŁAW BRUCZ

O JADOWITE SĄ PSZCZOŁY POCAŁUNKÓW...

O jadowite są pszczoły pocałunków  
Latarnie są jak drżące łązy upokorzonych  
Gdybym nawet wypił całe morze trunków  
Nigdy więcej nie będę pijany.

Ludzkość zawsze zziębnięta w pośpiechu i radość  
Ochłapem jest wyrwanym spomiędzy walczących  
Twarz mnie boli od śmiechu  
Przytul moją głowę. Jestem bardzo zmęczony

34/44

TADEUSZ PEIPER  
NAGA

Naga, w obłoku z pościeli, wrysowana w ciszę,  
w kołysce z nocy, z nocy o kształcie ust,  
na echach słów mych, dzieł czarnego czaru,  
naga, na echach, gdy będziesz błyszcząca  
złota miednica a w niej z pereł kurz,  
ty, kartka papieru którą ja zapiszę  
lub może wcześniej rzucę ją, podpał, na ruszt,  
naga, w ciszę wklejona, milcz i tylko paruj.  
Od słów twych wyżej cenię szept twój, szept twojego ciała,  
woń twojego ciała, woń rzeźni i róż.

35 / 44

MIECZYŚLAW JASTRUN  
PIEŚŃ ZABOBONU

Z zapadłych wieków, z pierzchłych dali  
Przywiał kurz złoty, cwałem starty  
Z lipcowych nocy, z żółtych alej,  
Co stały jak gromniczne warty.

Odkopał wiosnę, czas stracony,  
Że lśni jak obraz nie oschnięty:  
Miłosne łoża i zasłony,  
I woń idylli sianożętej,

Krzyki, chrapania, złe oddechy  
Nabrzmiątych winem i rozkoszą,  
Zasznurowanych kobiet śmiechy  
I werbel nocy, wzdętych noszą

Pijackich uczt, płomienie łuczyw,  
Kiedy sprzeczały się z gwiazdami –  
I ciemny, wonny zawiew buczyn  
Nie liśćmi szumi, lecz głosami.

Przyptynie jesień, wiatr przywieje  
I sad gwiazdami zakołysze;  
Stulecia kładą, tuczne dzieje,  
Cienie na ponieszporną ciszę.

Gdzież bo się kończy ta epoka?  
Złodzieje nocą, dybią słuchy.  
A tu mieszczańskie burczą brzuchy  
Te Deum w jutrzni i w obłokach.

36 / 44



WŁADYSŁAW BRONIEWSKI  
BALLADA O PLACU TEATRALNYM

Bezszenność. Noc. I gwar uliczny.  
I mgła na placu Teatralnym.  
Mój cieniu, stań i razem milczmy –  
któż wie, skąd lęk i czego żal nam?

Mijają dni, jak woda w Wiśle,  
szumiąca o czym? – o milczeniu...  
Mijają dni, i trzeba myśleć,  
kim jestem ja i ty, mój cieniu.

Zaklinacz słów, szarlatan uczuć,  
poeta tylko, tylko błazen? –  
więc tylko smutki nocą włączyć  
i trupa grać w teatrze marzeń?...

A może – depcząc malowidła  
bezpłodnych snów rekwizytorni –  
oślepić cienie, zdmuchnąć widma  
i wyjść na wielki plac historii?...

Niech mówi noc i gwar uliczny,  
i mgła na placu Teatralnym –  
tu – jeśli jęk – to jęk tragiczny,  
tu – jeśli krok – to krok fatalny.

Doleci echo z dna legendy  
i zadrży bruk, i serce zadrży –  
to szabel błysk i wrzask komendy,  
ura-a! i tętent kopyt w szarży!

Kozackim cwałem, świstem kuli  
osaczy groza plac rozległy –  
grającą ujrzę dłoń: pięć ulic,  
i Teatr Wielki: lirę z cegły.

Lecz milczy pieśń o Piątym roku,  
w teatrze grają „Lohengrina”,  
i pusty plac, we mgle i mroku,  
przechodzi upiór szpiega Grüna.

Przechodzi plac i staje w bramie  
pałacu Blanka (urząd śledczy),  
a stamtąd milcząc patrzy na mnie  
i wietrzy krew, i pieśń mą wietrzy...

On wie, że musi walczyć ze mną,  
lecz jeszcze lęka się i waha...  
(Jak w trumnę wbija w noc bezsenną  
żelazne gwoździe krok szpyldwacha.)

Pod maską szpiega może skryty  
jest ktoś – bez twarzy, bez imienia –  
lecz myślą w Polsce znakomity,  
pan wielki serca i sumienia?...

Kto jesteś?! – kroków moich szpicel  
czy myśli druh, ktoś niegdyś bliski,  
poeta, mówca, wódz, myśliciel,  
co zaćmił cały kraj nazwiskiem?

Kto jesteś? Milczy upiór zdrady  
i z oczu znika w bramę wszedłszy,  
lecz myśl podąża w jego ślady  
i trupa, trupa w Polsce wietrzy...

Bezsenna. Mglista noc. Milczenie...  
O, ująć teatr jak instrument  
i plac, podobny wielkiej scenie,  
zagłuszyć trzaskiem starych trumien!

Niech żywi i umarli zjadą  
na wiec – kuligiem! – szumnie, gwarnie,  
cmentarną, huczną maskaradą  
defensyw, więzień i trupiarni!

Kuligiem! – z pieśnią, sztandarami –  
na plac – ze stoków cytadeli!...  
A upiór zdrady czyha w bramie,  
jak zawsze pierwszy w tłum wystrzeli!...

W burzliwy ranek rewolucji  
on zdradzi serca i rozumy,  
pomiesza słowa, myśli skłóci,  
zatriumfuje znów nad tłumem,

wśród trupów będzie tkwić jak pomnik  
wzniesiony katom i mordercom,  
aż pamięć klęski my, potomni,  
wyrwiemy – choćby razem z sercem!...

W dwudziestym czwartym, piątym, szóstym  
ja byłem w tłumie wśród masakry:  
na placu zakrwawionym, pustym  
pozostał cień, co świat mi zakrył,

i kiedy tłum po szarzy zniknął  
wśród ulic, które z krzykiem biegły,  
cień stał nad trupem robotnika  
o teatr wsparty: lirę z cegły!...

Od lat, od lat u stóp teatru  
misterium dziejów gra się krwawe,  
od lat chce upiór pieśń mą zatruć  
i pieśnią runąć na Warszawę,

lecz ja, staczając bój z upiorem  
o trupi plac i lirę trupa,  
do ręki żywe serce biorę,  
by chęptał krew mój cień, mój upiór.

Gdy cienia zdrady krwią nasycę,  
natenczas pieśń, co trwogi nie zna,  
zuchwała leci na ulice  
i wiedzie tłumy, zła, drapieżna,

na plac Czerwony, Teatralny,  
gdzie krzyżeć umie bruk uliczny,  
gdzie – jeśli krok – to krok fatalny,  
a jeśli jęk – to jęk tragiczny.



37/44









38/44

JERZY JANKOWSKI  
TRAM WPOPSZEK ULICY (RAPSOND)

1.

Niebieskie oczy proletariatu...  
tak jak niebieski jest nad Polską świt!  
o wieże waszej świat pszekaże światu  
międzynarodowy futuryzmu mit.

2.

Fabryki kominy czarne jak sztandary,  
czarne niby lotny dzielnic ludu proch  
wy zapamiętacie bezmiar tej ofiary,  
kiedy osypywał was mitraliez groch.

3.

Czerwone płomienie walczą z wodną falą,  
na płonącym statku długo chwiał się maszt  
woda doń syczała: „Do mnie pujdź bo spalą!”  
lecz ogień zwyciężył: myszy wyszły z kaszt.

4.

Tokaż pszy tokarni groźnie się uśmiecha  
już na lon wytoczył dziewiętnaście luf  
kował pot ociera, bo żar praży z miecha,  
ileś mieczuf wykuł, towarzyszu, muf!

5.

Giser pochylony nad formą nie dmucha  
pszy odlewie bożkuf. On nie robił bomb!  
ale bożki można z nadziewaniem bżucha  
ciskać o sto krokuf w dal i w szez i w głąb.

6.

Poszuściły w kątku jakieś proklamacje  
i „maszyna” siedzi twardo w łapie lwiej  
socjalista uznał robotniczą rację  
lecz od tego chyba po fajrancie lżej.

7.

Kiedy palacz przyszedł puszczać w ruch dynamo  
ziewnął raz i drugi i do chłopca żekł –  
było ich tam sześciu, postali za bramą  
ale wnetki poszli, bo za nimi szpieg.

8.

Wyzywają wroga oczy robotnicy  
Widzą one wszystko z poza rygla bram  
czyjeż biło serce, gdy wpopszek ulicy  
legł między beczkami pszewrucony tram.

.....

//

Zwyciężył wodę płomień krwawy  
Salw oddalonych suchy tżask  
Pszywiudł w świątyni starej nawy  
Futuryzmu bżask.

*Dionizemu Waławowi Oryngowi  
na pamiątkę wspulnie pszeżytych  
chwil entuzjazmu i trwogi.*

of the population. The population is assumed to be well mixed, and the model is assumed to be deterministic. The model is written as a set of ordinary differential equations (ODEs) for the number of individuals in each class:

$$\frac{dN_i}{dt} = \sum_{j=1}^n a_{ij} N_j - \sum_{j=1}^n b_{ij} N_i N_j - d_i N_i \quad (1)$$

where  $N_i$  is the number of individuals in class  $i$ ,  $a_{ij}$  is the per capita birth rate of class  $i$  due to class  $j$ ,  $b_{ij}$  is the per capita death rate of class  $i$  due to class  $j$ , and  $d_i$  is the per capita death rate of class  $i$  due to natural causes.

The model is assumed to be well mixed, and the population is assumed to be well mixed. The model is assumed to be deterministic.

The model is written as a set of ordinary differential equations (ODEs) for the number of individuals in each class:

$$\frac{dN_i}{dt} = \sum_{j=1}^n a_{ij} N_j - \sum_{j=1}^n b_{ij} N_i N_j - d_i N_i \quad (1)$$

where  $N_i$  is the number of individuals in class  $i$ ,  $a_{ij}$  is the per capita birth rate of class  $i$  due to class  $j$ ,  $b_{ij}$  is the per capita death rate of class  $i$  due to class  $j$ , and  $d_i$  is the per capita death rate of class  $i$  due to natural causes.

The model is assumed to be well mixed, and the population is assumed to be well mixed. The model is assumed to be deterministic.

The model is written as a set of ordinary differential equations (ODEs) for the number of individuals in each class:

$$\frac{dN_i}{dt} = \sum_{j=1}^n a_{ij} N_j - \sum_{j=1}^n b_{ij} N_i N_j - d_i N_i \quad (1)$$

where  $N_i$  is the number of individuals in class  $i$ ,  $a_{ij}$  is the per capita birth rate of class  $i$  due to class  $j$ ,  $b_{ij}$  is the per capita death rate of class  $i$  due to class  $j$ , and  $d_i$  is the per capita death rate of class  $i$  due to natural causes.

The model is assumed to be well mixed, and the population is assumed to be well mixed. The model is assumed to be deterministic.

The model is written as a set of ordinary differential equations (ODEs) for the number of individuals in each class:

$$\frac{dN_i}{dt} = \sum_{j=1}^n a_{ij} N_j - \sum_{j=1}^n b_{ij} N_i N_j - d_i N_i \quad (1)$$

where  $N_i$  is the number of individuals in class  $i$ ,  $a_{ij}$  is the per capita birth rate of class  $i$  due to class  $j$ ,  $b_{ij}$  is the per capita death rate of class  $i$  due to class  $j$ , and  $d_i$  is the per capita death rate of class  $i$  due to natural causes.

The model is assumed to be well mixed, and the population is assumed to be well mixed. The model is assumed to be deterministic.

The model is written as a set of ordinary differential equations (ODEs) for the number of individuals in each class:

$$\frac{dN_i}{dt} = \sum_{j=1}^n a_{ij} N_j - \sum_{j=1}^n b_{ij} N_i N_j - d_i N_i \quad (1)$$

where  $N_i$  is the number of individuals in class  $i$ ,  $a_{ij}$  is the per capita birth rate of class  $i$  due to class  $j$ ,  $b_{ij}$  is the per capita death rate of class  $i$  due to class  $j$ , and  $d_i$  is the per capita death rate of class  $i$  due to natural causes.

39/44

ANATOL STERN  
EUROPA

## ABC

abecadło rzezi  
brudu wesz pożarów  
i miłosierdzia  
Stany Zjednoczone  
i – Argentyna Brazylia Chili  
Polska i Rosja  
fenomen i noumen  
wieczność i nicość –  
dwaj wypasieni bokserzy  
którzy zawsze wygrają!  
My – żrący mięso  
raz na miesiąc  
my – oddychający  
siarką  
kosztowną siarką  
jak powietrzem –  
my –  
wlokący ulicami  
rząd zapadłych brzuchów  
z bezsilnymi pięściami  
wypychającymi kieszenie – –  
my –  
przegramy  
przegramy  
**przegramy**  
jak zwykle!!

Karmią nas  
**karmią nas**  
wpychają nam do gardła  
pokarm dla ducha!  
500stronicowe trychniny powieści  
wyblakłe tasiemce gazet  
słodkie zjadliwe

bakcyle słów  
wpycha nam do gęby  
obżarte bractwo  
literatów  
prezydentów  
ministrów oświaty  
Chiny Zachodu!!  
przestańcie truć nas  
my nie jesteśmy szczurami!  
o bodajbyśmy byli  
rojewiskiem proletariackim szczurów  
moglibyśmy  
gryźć  
białe  
mięsiste  
palce  
które nam podsuwają bez przerwy  
na biały zatruty proszek  
starte stronice.

Wielki prysznic mityngów  
masaż agitacji  
ewangelia terroru –  
to przepaść  
do której się rzucamy  
nie mogąc się rzucić  
do nieba.

Jedyna  
święta  
dyscyplina człowieczeństwa!

Film wojny światowej  
realizatorzy  
operatorzy



oślepieni  
napisy wszystkie wytarte  
niepodobna zrozumieć  
ryczącej gestykulacji  
miliarda rąk  
przeszarżowanej gry aktorskich oczu  
**film szaleństwa**  
nadziany robactwem cyfr  
które nic nie tłumaczą  
tryskający  
nienawiścią  
przerażeniem wirażów  
które wszystkie  
wszystkie  
są czerwone  
Lecz któż  
lecz któż  
walczy  
o droższe od wszystkich Śląsków świata  
od niepodległości wszystkich droższe –  
wyzwolone serce człowieka?!

miliony dancingów szczerzą murzyńskie swe mordy  
**oto jazz-band odkryć**  
shimmy względności  
dżig katastrof ekonomicznych  
i ten najnowszy taniec –  
nadrealistyczny kamarinskij  
równości klasowej  
pod którym się zapada posadzka Europy

**to**  
to jedno czego nam trzeba:  
mały bejram pojęć,  
szorowanie intelektu

na sposób wschodni  
(à la manière orientale)

aaa!!  
wszystko do diabła!  
przede wszystkim  
**puść bagnet**  
którym rozpruwasz brzuch tego biedaka!  
pomyślcie  
przecież Chrystus  
mógł się narodzić Boszem  
Druzem  
Indusem  
Chińczykiem!

Najbliższa rodzina przedmiotów  
ożywionych własną swą ręką  
nieskończona drabina  
komplikacji  
**budowanie nowego wyrazu**  
wyrazów  
siebie samego  
życie miasta  
o wszelkiej porze  
koncert polifoniczny  
drutów  
stuków  
„Pacyfik”  
rur kanalizacyjnych  
rozpaczliwa sygnalizacja  
lamp  
zapalających się pod wieczór  
najtrudniejsza do zniesienia chwila  
nagiej agonii  
aut

gdy miasto zapada  
w próżnię.

Zeppelin miasta  
nie Eckenera –  
Kolumba!!  
ja tego nie mogę  
ja tego nie chcę wyrazić słowami!  
tu trzeba milionów stalowych narzędzi  
wszystkie Timesy świata  
nie starczą na jeden wiersz  
to trzeba śpiewać wiekami  
trzeba odnotować  
wszystkie eksplozje  
atomów  
obnażyć  
sejsmograf  
podświadomości.

Człowiek ułożony z zapalek  
i ten 3000letni  
z jaskini madziarskiej –  
to rozłączeni bracia  
epoka kamienia  
wszystko jedno jakiego  
przecina się z naszym żelazobetonem  
to wyścig epok  
zawsze to samo –  
wysokie morderstwo cywilizacji  
ekstaza zmysłowości  
skrzywiony natężeniem  
mózg  
**XX wiek – to Haarmann**  
intelektualizm – to sadyzm psychiczny  
nie przekształcajcie życia

w walkę typów logicznych  
wielka terapeutyka przyszłości –  
gimnastyka żarłocstwa – się zbliża!

Tradycja i ciągłość –  
to wielkości urojone  
wynałazco  
jesteś synem przypadku!  
śpieszymy do wielkiej  
reakcji swobody  
ukoronowanej 20-wiekowym przymusem  
jedyną realną stacją jest ta  
której brak  
w żółtym rozkładzie jazdy  
pozwólcie mi spocząć na chwilę  
przeciąć kable  
swej wrażliwości.

Ten zielony kiel trawki  
ściśniętej dwiema płytami trotuaru  
ten wrywający się rozbitek  
na pokratkowanym kamiennym  
atlantyku  
to goniec śmierci  
patrzcie  
trzyma w wątlej ręce  
góry  
doliny  
przecięte rzekami  
jodły jawory  
szumiące skrzydłami  
anioły zniszczenia  
jego nieme usta głoszą  
wszystkie słodyczne spoczynku  
wlecze za sobą tłuszczę

olimpijczyków  
i azów  
bije taranem w pierś murów  
zdziera skórę czerwoną z tramwajów  
rozpławia szkło i żelazo –  
mózg miasta  
druzgoce  
kruchą i wzniosłą łamigłówkę cywilizacji  
– ta para ludzi  
kryjąca się w jego cieniu  
ze zwierzęcą trwogą  
mikrocefalów  
to fetysz parlamentu  
i najmądrzejsza z kochanek –  
o straszna jest śmierć Europy!  
o błogostawiona!!

### Epileptyk Dionis

je wiedzie  
kobiety  
z latającymi piersiami  
w rękach ich  
drży nagie ciało  
rozszarpanego radioaparatu  
mechanicznego Orfeusza  
inne już wpadły  
w stłoczone stado  
aut  
lokomotyw  
przerazonych jagniąt  
beczących  
zachrypniętymi  
trąbami  
już im tego za mało  
do sennych jątówek przedmieść

i do naskakujących na nie  
rozpalonych buhajów miast  
zbliżają się  
niecą popłoch  
rozpędzają stado  
Paryżów  
Warszaw  
Lizbon  
Londynów  
tej paszczęka się wżarła  
w napięty grzbiet kościoła Madeleine  
ta z ryżą grzywą rozdziera  
drżące kolumny  
giełdy  
biodrami rozpychają  
struchlałe tusze  
miast  
sycą głód  
tucznym  
mięsem  
Europy.

Nareszcie  
nareszcie  
wolny  
zdeptać  
flagellanta pracy  
ćwiczącego się tragizmem  
zdeptać tragizm  
etyki pracy  
na cześć dekalogu żołądka.

Jestem pokryty miliardem ust  
zorganizowanym proletariatem komórek  
buntem gardzieli.

Ten tłum szalejących bachantek –  
to centymetr mej skóry.

40 / 44



## TADEUSZ PEIPER

### POWOJENNE WEZWANIE

Świat krwią zmył twarz.  
Oczy przetarł cmentarzem, czołgi złożył w szufladzie.  
Dzisiaj biały działa brusiarsz;  
ostrzy dłón świata i na cegłach ją kładzie,  
aby oczy nie szukały ojczyzny na nożu czy na zębie;  
nowe słowa lśnią na niebie, brzuchate gołębie.

Niech się ramiona, kaplice w mięsie, otworzą  
i niechaj tka się w nich modlitwa ciężarowych koni.  
Była niegdyś od morza do morza,  
dziś być musi od dłoni do dłoni.  
Słońce błaga byście je zaprzęgli do pług;  
kopalnie są zalane gwiazdami po których płyną żagle bez łodzi;  
fabryki śnią jad dnia w którym je żar wasz zawęgli do uda;  
bałtyk ziewa, potem nagle się płoni.  
Jest tak gorąco  
że można by świat zbudować z włosa,  
a cóż dopiero z dłoni.

Niezapisane arkusze ziemi czekają nowych piór.  
Idziemy,  
mur czół w marszu.  
Krok rwie krok,  
dłón pcha dłón,  
w nurt wziął nas z żył dnia tryskający olej.  
Idziemy nowy taniec rzeźbić na każdym starym kościele;  
wróg? jeden skok!  
ból? tylko boli!  
Prawda, jest nas dzisiaj o tysiąc za mało,  
lecz jutro nas będzie o sławę za wiele.

My... Mech rwać; rwać. Być trzpieniem  
który kłuje i spina. lść; wszyć łożę w zamiecie,  
mgłę drzeć skrą, a zgniłą nić kamieniem,  
być pieśnią w latarni, nogą na kwiecie,

ze śliny uczynić dziesiątą część mowy,  
słowa – dać je dłoniom pod straż,  
w czarną armię mar rzucić kułak nowy:  
nasz!



41/44

JÓZEF CZECHOWICZ  
ŻAL

głowę która siwieje a świeci jak świecznik  
kiedy srebrne pasemka wiatrów przefruwają  
niosę po dnach uliczek  
jaskółki nadrzeczne  
świergocą to mało idźże

tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny  
roztrzaskane szybki synagog  
płomień połykający grube statków liny  
płomień miłości  
nagość

tak wysłuchiwać ryku głodnych ludów  
a to jest inny głos niż ludzi głodnych płacz  
zniża się wieczór świata tego  
nozdrza wietrzą czerwony udój  
z potopu gorącego  
zapytamy się wzajem ktoś zacz

rozmnożony cudownie na wszystkich nas  
będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie  
ja gdy z pługiem do bruzdy przywarł  
ja przy foliach jurysta  
zakrztuszony wołaniem gaz  
ja śpiąca pośród jaskrów  
i dziecko w żywej pochodni  
i bombą trafiony w stallach  
i powieszony podpalacz  
ja czarny krzyżyk na listach

o żniwa żniwa huku i blasków

czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć  
nim się kolumny stolic znów podźwigną nade mną

naleci wtedy jaskółek zamieć  
świśnie u głowy skrzydło poprzez ptasią ciemność  
idźże idź dalej



42/44



## JÓZEF ŁOBODOWSKI POGRZEBY

Mała garsteczka prochu, ale duch się krząta,  
ciało wyschnięte, a myśl się szamoce;  
na miastach zatraconych, przehulanych łądach  
już się rozpościerają narodowe noce.  
A tutaj wnoszą trumny w srebrze i purpurze,  
jak pocisk, wymierzone ku idącym czasom,  
gdy ten, co wichry zasiał,  
i ten, co zbierał burze,  
naprzeciw siebie stanęli sam na sam.

Dzwony, rozkołysane doczesnym parafiom,  
oczy, w postnej żałobie pogrążone skromnie.  
Znają ten czarny obrzęd i dobrze potrafią  
dzisiaj skomleć nad grobem, a jutro zapomnieć,  
od dzieciństwa przywykli ku starym cmentarzom  
nosić w skrzynkach sosnowych mogilny urodzaj...  
– Z bólem i strachem wykrzywioną twarzą  
kogo grzebicie? – poetę, czy wodza?

Wyznawcy błaznów, wielbiciele pawia,  
jednogodzinnych dysput myśliciele!  
Każda klęska minioną na was się odnawia,  
w spróchniałych młynach to samo się miele,  
potem szczekacie w nikczemnej boleści,  
jak szczenięta, kopnięciem zbudzone ze śnicy,  
wzdychacie nadaremnie po straconej cześci,  
znowu wygnańcy i znów niewolnicy.

I tylko tyle myśli, ile w starych księgach,  
tyle sławy i dumy, co w przedwiecznych grobach.  
Jasnego światła ślepiąca potęga  
szła ponad wami, jak wielka osoba  
Bożego Ducha, ale nie starczyło  
tchu, kiedy wichrem was w serca uderzył.  
Umarł.

Ze śmiercią skończyła się miłość  
i stara wierność kokoszych żołnierzy.

Umilkły nocne pieśni nad groźnym poetą,  
nie dzwonią srebrne dzwony nad milczącym wodzem.  
Jesień dmie w usta oniemiałym fletom,  
zawieją liści kołuje na drodze, –  
ach, jesień polska, jesień smutnoczoła,  
świerszczem cyka wśród bierwion, głosem wiatru woła,  
skuli się drzewkiem zgarbionym przy oknie, –  
i zgniła słoma na starych chochołach  
raz jeszcze krwią nadaremny przemoknie.

Więc znowu zaczynacie szlacheckim zwyczajem  
szukać źdźbła w cudzym oku i braci podglądać;  
gdy widmo dni minionych usnąć wam nie daje,  
kogóż stawicie na pieniackich sądach?  
Myślicie: przemoc wroga! – szepczecie: żelazo...  
Jakby nie przeto moc swą wykowali zbójcy,  
że przeciw duchów niezłomnym rozkazom  
chcieliście sami tak żyć, samobójcy!

A były ręce krzepkie i wojenny naród,  
co już się brał za bary z zeszłowiecznym mrokiem.  
Gdy dymne skrzydła groźnego pożaru  
daleką łuną powiały do okien,  
któż z maluczkich odmówił swej krwi i ubóstwa,  
kto z młodych pożalował bujnych żył i ściągien?  
Ptaki pieśni zrywały się na naszych ustach,  
do brzegów przybijały ładowne komiędzy,  
rwał krok żołnierski.

Ale głosów ducha  
nikt z was nie pragnął, i nikt ich nie słuchał,  
gdy nad głowami się wicherzą, –  
dłoń się wzniosła i oto

w huku fal nadszedł potop,  
napływając ku domom i spichrzom.

Takeście stali głusi na wielkich pogrzebach  
i, wieka zatrzasnąwszy, powracali do dom.  
A oni, wciąż niesyćci niebieskiego chleba,  
jeszcze nas przywołują ku wielkim przygodom,  
nocą kreślą na ścianach mroczne pentagramy,  
do szyb pukają coraz ciszej i samotniej...

Albo będziecie na miarę ich samych,  
albo zginiecie  
i już bezpowrotnie.

43 / 44

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI  
BELWEDER

Co teraz? Zamknąć wszystko w tych ścianach i nosić  
Po pokojach los trudny i ziemię rozległą.  
Zdawało się, że wolność to już będzie dosyć,  
A to jest tylko tyle, ilu ich poległo.

Gdzie patrzeć przez te ściany?

Oto rzeka rwąca  
Niewstrzymanego niczym toczy nurt istnienia,  
Deltami się rozwidla i groble roztrąca,  
Iłem brzegi zanosí i prąd kręty zmienia.  
Na brzegach siedzą rzędem, patrzą w nurt zagadki  
Mędracy obsiani szeptem nad głuszą tajemną  
I tropią w lustrach wody głąb topieli gładkiej  
I dno jej odgadują. A na dnie jest ciemno.  
Więc wstają i wzruszywszy ramionami, bladzi,  
Umywają swe ręce od własnej niemocy  
I odchodzą znad brzegów, fałszywi prorocy.

Nikt nurtu nie wywróży, losom nie poradzi.

A w górze słysząc młyny, rozpędzone młyny,  
Jak tną wieczystą miazgę, jak grzmot kołowrotów  
Dzieli przestrzeń na ludzi i czas na godziny:  
Rodzi światy. Ja patrzę, czy nasz będzie gotów.

Słysząc młyny. Los mielą na żarnach powoli  
I na dół odrzucają zatoczone kręgi.  
Słyszę, jak się ulepia mój czas, moja kolej,  
I uszy mnie napięte bolą od potęgi.

Ten słuch – to los mój wieczny. Te młyny – to dla mnie.  
Dla was wszystko, do czego mój pośpiech nie zdąży,  
Czego tutaj nienawiść moja nie rozłamie,  
Miłość nie zdoła zbudzić a dłoń nie okrąży.

Dla was są tamte młyńskie kamienie i rzeki,  
Niemoc, którą przeklinam – moc, którą zostawiam:  
Wiem, jak ten pochód trudny i jak jest daleki.  
Idźcie. Biję was ogniem i mieczem rozkrwawiam.

Wszystkie widma wyświecić i pędzić je z domu,  
Gdzie portret schodzi w nocy ze ścian i gdzie straszy  
Dziki kurant przeszłości i chichot rozgromu,  
Cała pańskość plugawa, lamus hańby naszej.  
Ratunku nie wychytrzy, nie wygra się w kości,  
– Co na dno się potoczą, zaciążą jak ołów –  
Za głód, za nocny skowyt psich bud bezdomności,  
Miasta dymiące w szynku, wsie w słomie chochołów,  
Kraj milionów tuczony na otrębach nędzy,  
Zaduch gęb rozgadanych, gnuśność co mnie dusi.  
Cały jarmark programów!

Idźcie, mówię, prędzej

Za słuchem, co was uczył, żeście byli głusi.

Bo chyba wam żebracze torby trzeba poszyć  
I psami pędzić naprzód, jak trzodę rozbiegłą!

-----  
Zdawało się, że wolność to już będzie dosyć,  
A to jest tylko tyle, ilu ich poległo.



44 / 44



MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA  
BARWY NARODOWE

Biało-krwawy,  
Krwawo-biały, Iniany  
Opatrunku, który zwiesz się: sztandar,  
Coś się z wielkim krwotokiem uporał!  
Wiatr rozwija ten dokument rany,  
Wznosi w górę bohaterski bandaż,  
Tę pamiątkę,  
Ten dług  
I ten morał.

/



NOTA

Wiersze zebrane w antologii powstały przed wybuchem II wojny światowej. Wszystkie były wcześniej publikowane – niekiedy wielokrotnie i w wersjach różniących się między sobą. Tutaj przedrukowane zostały za ich edycjami krytycznymi, a jeśli takich edycji brak, to za podstawę przytoczenia przyjąłem wydania zbiorowe poezji poszczególnych twórców lub – w kilku przypadkach – pierwodruki tomów, z których wiersze pochodzą.

Tam, gdzie wydało mi się to konieczne, uwspółcześilem pisownię i niektóre rozwiązania typograficzne, poprawiłem także ewidentne błędy literowe oraz usterki interpunkcji – za punkt odniesienia biorąc w takich razach kształt ostatniej wersji autorskiej utworu.

W antologii brakuje wierszy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego: *Serwus, madonna, Inge Bartsch* i *Wileńskie imbroglio* – na opublikowanie ich nie zgodziła się Kira Gałczyńska.

Paweł Próchniak

## SPIS TREŚCI

Słowa są wolne / uwagi o niepodległości poezji

Józef Czechowicz	1	Wulkan
Jan Lechoń	2	Mochnacki
Kazimierz Wierzyński	3	Listopad 1918
Józef Czechowicz	4	piłsudski
Władysław Broniewski	5	Młodość
Czesław Miłosz	6	Kołysanka
Jerzy Liebert	7	Jesień na mogiłach wiosennych
Jan Lechoń	8	Piłsudski
Kazimiera Iłakowiczówna	9	List matki żołnierskiej
Władysław Broniewski	10	Mannlicher
Jan Lechoń	11	Herostrates
Bruno Jasieński	12	But w butonierce
Julian Przyboś	13	Równanie serca
Julian Tuwim	14	Mieszkańcy
Maria Pawlikowska-Jasnorzewska	15	Ciotki
Stanisław Baliński	16	Nie mogę, Panie, patrzeć...
Władysław Sebyła	17	Modlitwa
Kazimiera Iłakowiczówna	18	Wszystko, co będę miała
Julian Tuwim	19	Ogrody szpitalne
Felicja Kruszevska	20	Prostytutka
Józef Czechowicz	21	pod dworcem głównym w warszawie
Andrzej Wolica	22	Do towarzysza zecera

Maurycy Szymel	23	Genealogia
Antoni Słonimski	24	Rozmowa z rodakiem
Mieczysław Jastrun	25	Bajka
Stanisław Wygodzki	26	Buty
Jarosław Iwaszkiewicz	27	Zima
Czesław Miłosz	28	Ty silna noc...
Jerzy Liebert	29	Boża noc
Jerzy Liebert	30	Koguty
Jarosław Iwaszkiewicz	31	Woda, zielona i głęboka...
Władysław Broniewski	32	Zioła
Stanisław Brucz	33	O jadowite są pszczoły pocałunków...
Tadeusz Peiper	34	Naga
Mieczysław Jastrun	35	Pieśń zabobonu
Władysław Broniewski	36	Ballada o Placu Teatralnym
Józef Łobodowski	37	Piłsudski
Jerzy Jankowski	38	Tram wpopszek ulicy
Anatol Stern	39	Europa
Tadeusz Peiper	40	Powojenne wezwanie
Józef Czechowicz	41	żał
Józef Łobodowski	42	Pogrzeby
Kazimierz Wierzyński	43	Belweder
Maria Pawlikowska-Jasnorzewska	44	Barwy narodowe

Nota

wybór, wstęp i nota  
PAWEŁ PRÓCHNIAK

korekta  
RENATA ZAJĄC

opracowanie graficzne  
MAŁGORZATA RYBICKA

druk i oprawa  
PETIT S.K. LUBLIN

ISBN 978-83-65444-31-8

© Copyright by Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”  
© Copyright for the introduction and selection by Paweł Próchniak  
© Copyright for the poems by Authors and their Heirs

Poems by Julian Tuwim © Fundacja im. Juliana Tuwima i Ireny Tuwim, Warszawa 2006, Poland

Copyright © *Kolysanka (Lullaby)* from *New and Collected Poems, 1931-2001*

© 2001, Czesław Miłosz; *Ty silna noc (You strong night)* from *Selected and Last Poems, 1931-2004* © 2014, Czesław Miłosz

Dołożono wszelkich starań, by odszukać właścicieli praw autorskich wierszy zamieszczonych w niniejszej antologii. W przypadku ewentualnych niejasności wydawca zapewnia, że prawa wszystkich właścicieli będą respektowane.

OŚRODEK „BRAMA GRODZKA – TEATR NN”

Lublin 2018

